

Co dalej z prawem geodezyjnym?

GADANINA ZAMIAST USTALEŃ

W styczniowym GEODECIE ukazał się mój artykuł „Najwyższy czas na nowe prawo”. Chyba rząd i Sejm też doszły do podobnych wniosków, bo najpierw powołano zespół ekspertów do spraw geoinformacji, a następnie klub parlamentarny PiS zorganizował seminarium pod szumnym tytułem „Rola geodezji i kartografii jako służby informacyjnej współczesnego państwa”. Oba te fakty świadczą o tym, że mierny stan naszej branży dostrzegany jest już powszechnie. Daje to jakieś nadzieje na zmiany.



MAREK ZIEMAK

W wspomnianym przeze mnie zespole ekspertów jest 7 profesorów. Zgodnie z powiedzeniem Bismarcka taka liczba profesorów dopuszczonych do decydowania jest wystarczająca, żeby w krótkim czasie rozłożyć gospodarkę amerykańską. A co dopiero naszą małą geodezję...

Większą nadzieją powiało w Sejmie. Na seminarium przyjechało chyba ze 250 geodetów z całej Polski reprezentujących organizacje, administrację i firmy. W prezydium było 5 posłów, w tym 3 geodetów (jednak niepraktykujących). 9 kolejnych mówców tłumaczyło im, co to jest geodezja i co by należało z nią zrobić. Podstawą geodezji jest oczywiście służba geodezyjna i bez niej państwo natychmiast się zawali. Po wygłoszeniu tych mądrości zostało tylko pół godziny na dyskusję i głosy z sali. Podsumowania właściwie nie było, ale posłowie oświadczyli, że zapoznali się z problemem i będą nad nim dalej pracowali. Cóż, niewiele jak na taki spęd. Szczerze powiedziawszy nie bardzo rozumiem, po co się w tak liczny gronie zebrałiśmy. Na dodatek częstowali tylko kawą i herbatą, a czasu w przerwie starczyło zaledwie na szybką wymianę zdań. Chyba że ta liczba geodetów miała być dla posłów na coś dowodem... Słowem, było po polsku: mnóstwo gadaniny i żadnych ustaleń. Przyszłość za to jest na pewno świetlana. Głównie dzięki Unii, a ściślej – dzięki jej funduszom.

Ostatecznie imprezę odebrałem tak, jakbyśmy my, geodeci, swoje już powiedzieli, po czym oddali się bezwolnie w ręce ministrów, posłów i ekspertów, czekając tylko na wyrok.

Nic oryginalnego prelegenci posłom nie zaprezentowali. Wszyscy przedstawiciele służby geodezyjnej widzieli swoje urzędy ogromne, a rolę administracji stale rosnącą. Meritum zawsze to samo: poprzednicy to łobuzy i lenie, które zostawiły tylko bałagan. Żeby zrobić z tym porządek, to chcemy więcej budżetu, więcej etatów, więcej komputerów, ploterów, więcej biur, więcej papieru, więcej, więcej, więcej... to może za ileś lat coś się uda zrobić. Pewnie ten tekst czytelnicy już dobrze znają, bo się powtarza od zawsze, i to niezależnie od ustroju i prawa. Cóż, biurokracja jest ponadczasowa i geodezja na pewno jest tu w ścisłej zolówce. Niestety, chęci na bardziej radykalne zmiany brak. A są możliwe. Przykłady? Proszę bardzo.

Banki. Jeszcze dwadzieścia lat temu wszyscy stali grzecznie w kolejkach do nielicznych okienek bankowych, gdzie ręcznie wypełnione asygnaty przyjmowali zapracowani do nieprzytomności kasjerzy. Każdy podpis i dyspozycja sprawdzane były ze trzy razy. Jedna operacja potrafiła zająć 2-3 godziny. A dziś powszechnie funkcjonują banki internetowe, gdzie samemu wykonuje się dowolne operacje bankowe. W automatach rozlokowanych gęściej niż kioski RUCH-u błyskawicznie podejmuje się gotówkę.

Technicznie tradycyjne okienka zastąpiła baza danych dostępna poprzez automaty i komputery z każdego miejsca na Ziemi. Zauważcie, że zniknęły asygnaty, dyspozycje i jakieś inne druki. A co najważniejsze, nikt nie wymaga żadnych podpisów ani pieczętek. Identyfikacja jest cyfrowa i cześć! A przecież ludzie przelewają codziennie ogromne pieniądze – swoje i cudze – z fantastyczną sprawnością i nikt się nie skarży. Powiedziałbym nawet, że już sobie metody tradycyjnej nie wyobraża. Czyli można.

A jak wygląda nasza – zbiurokratyzowana przez tzw. służbę – geodezja? Ano, najpierw w bardzo tradycyjnym biurze z barierką albo okienkiem przyjmuje się zgłoszenie. Po jaką cholere i komu potrzebna jest informacja, dla kogo geodeta robi mapę, kiedy ją zacznie, kiedy skończy itp., tego nikt nie wie, ale wykonawcy pracowicie druki wypełniają, a urzędnicy czytają. Po kilku dniach (jak dobrze pójdzie, a przecież nie musi) geodeta otrzymuje tradycyjne papierowe odbitki itp.

Dalej chwila prawdziwej geodezji, czyli pomiar, ale tylko chwila, bo zaraz wracamy do biurokracji. Pracowicie składamy operaty (średnio 20-40 stron różnych papierów ze ślicznymi okładkami – te są najważniejsze). Tutaj feeria podpisów i pieczętek – wykonał, sprawdził, kierownik roboty. Do tego sprawozdanie techniczne: pojechaliliśmy, zero trzymał Kowalski, łatę Zieliński, kąty lewe mierzył A, prawe B, szkicował C, po piwo biegał D,

wszystko się zamknęło na 3. To pewnie literatura dla przyszłych pokoleń historyków, żeby wiedzieli, jak barwne było życie geodety.

Z tym wszystkim idziemy do kolejki. Potem dostajemy co nieco nadwężone plansze i nakładki, na których rysujemy nowy dom, a czasami tylko przyłącze. Potem jeszcze kontrola, przyjęcie operatu do zasobu, wykonanie odbitek. Potem znów najważniejsze: STEMPLE PROSTOKĄTNE, KLAUZULOWE, PERSONALNE i FIRMOWE. Dla kilkumetrowego przyłącza procedura ta może trwać i miesiąc. Dla tak skomplikowanej operacji, jak podział działki, standardowy czas wszystkich operacji to 6 miesięcy. Po zatwierdzeniu operatu służba pracownice rozkłada zawartość operatów do teczek i skoroszytów. 99,999% tych papierów nikt nigdy potem nie ogląda, ale mają być pieczołowicie przechowywane do końca świata. Nad sensem i kosztami tego wszystkiego żaden urzędnik się nie zastanawia.

Twierzę, że problem z ośrodkami dokumentacji nie leży w tym, czy da się je jakoś ulepszyć. Sama ich idea się zdezaktualizowała. One nie mają żadnej racji bytu i dlatego trzeba je zlikwidować.

Pomysłów na kataster, rejestr geodezyjny czy ewidencję gruntów nie będę rozwijał, bo ostrość widzenia zaburzyło mi seminarium w Sejmie, a właściwie dyskusje kuluarowe. Siedziałem akurat w towarzystwie bardzo miłych geodetów powiatowych z południa Polski. Wszyscy zgodnie twierdzili, że ewidencja gruntów jest „be”, natomiast kataster austriacki oraz pruski „to jest to”. Robią coś w tej ewidencji, ale tak naprawdę o granicach i własności przesądzają zapisy katastralne austriackie i pruskie. I dlatego w kącie za szafą mają wszystko w dawnym katastrze na bieżąco.

Jako człowiek z Warszawy, czyli z Kongresówki, nie znam się na tych katastrach, ale skoro są takie dobre, to może zamiast filozofować i informatyzować tę nieszczęsną ewidencję zaadaptujmy któryś z tamtych XIX-wiecznych pomysłów. Geodeci powiatowi – przynajmniej południowi – będą zachwyceni. Technologia sprawdzona. Trzeba tylko wybrać między Franzem Josefem a Bismarckiem.

Wszystko to byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było prawdziwe. Wciąż trzymamy kierunek na wiek XIX, a świat jest w XXI.

MAREK ZIEMAK

NIE CZAS NA BUBEL

Artykuł powstał na podstawie referatu przygotowanego na marcową konferencję „Rola geodezji i kartografii jako służby informacyjnej współczesnego państwa”. Jego autor Wojciech Matela jest nie tylko prezesem Geodezyjnej Izby Gospodarczej, ale także jedynym przedstawicielem wykonawstwa geodezyjnego w zespole powołanym do analizy prawa związanego z geoinformacją.

WOJCIECH MATELA

Cele geodezji i kartografii jako dziedziny administracji publicznej zostały określone w dekreście Prezydium Krajowej Rady Narodowej z 1945 r. *o utworzeniu Głównego Urzędu Pomiarów Kraju przy Prezydium Rady Ministrów*. Obejmowały one „sporządzenie i stałe aktualizowanie jednolitej mapy gospodarczej państwa”, która miała być podstawą do planowania gospodarczego i administracyjnego, prowadzenia ksiąg hipotecznych i katastru gruntowego oraz opracowywania map dla celów specjalnych. W dekreście Rady Państwa z 1952 r. *o państwowej służbie geodezyjnej i kartograficznej* uszczegółowiono te regulacje, wyznaczając zadania dla Centralnego Urzędu Geodezji i Kartografii (obecnie GUGiK) oraz ministra gospodarki komunalnej. W większości zadania te pozostały aktualne do dzisiaj (kolejny dekret z roku 1956 niewiele w tym zakresie zmienił).

Dekret z 1952 roku znosił większość przepisów przedwojennych, w tym ustawę *o mierniczych przysięgłych*, determinując warunki pracy geodetów i kartografów na kolejnych 37 lat. Dopiero w maju 1989 r. została bowiem przyjęta, jako jedna z ostatnich w PRL, ustawa *Prawo geodezyjne i kartograficzne (Pgik)*. Biorąc pod uwagę, iż podstawy tego prawa i zapisy w nim sformułowane powstawały dużo wcześniej, przyjmując należy, że *Pgik* ma już ponad 20 lat. Powstało więc w zupełnie innej sytuacji politycznej, w innym systemie administracyjnym i gospodarczym, o ówczes-

nych rozwiązaniach technologicznych nie wspominając.

Nowelizowane wprawdzie kilka razy z powodu zmian innych ustaw, nigdy nie doczekało się gruntownej przebudowy, mimo wyraźnych sygnałów środowiska geodezyjnego o konieczności jego unowocześnienia. Najważniejsza i najbardziej obszerna nowelizacja *Pgik* z roku 1998, związana z reformą administracji publicznej, dostosowała struktury organizacyjne służby geodezyjnej i kartograficznej oraz jej zadania na poszczególnych poziomach do funkcjonowania w państwie posiadającym samorząd terytorialny, nie zmieniła jednak merytorycznych aspektów działania branży. Jak to wówczas władza geodezyjna tłumaczyła, był to wynik kompromisu pomiędzy tym, czego oczekiwało środowisko geodezyjne, a tym, co było możliwe do wprowadzenia. A może po prostu zabrakło determinacji i politycznego przebiccia, a głos środowiska geodezyjnego rozproszony i podzielony nie był dość mocny? Potwierdzeniem tej drugiej tezy mogą być dwie kolejne nieudane próby nowelizacji z 1999 i 2005 roku. Niewątpliwie wpływ na ten bezwład miały również liczne reorganizacje „na górze”: w ostatnich 10 latach Główny Urząd Geodezji i Kartografii umiejscowiony był w 6 ministerstwach i aż 7 podsekretarzy stanu sprawowało nadzór nad 5 głównymi geodetami kraju.

Dzisiaj, po osiemnastu latach transformacji ustrojowej, zarówno pod względem politycznym, jak i gospodarczym wiele się w kraju zmieniło. W zasadzie niezmienione pozostały natomiast przepisy prawa geodezyjnego.